

ELIKSIR PRZYGÓD

BEATA
OSTROWICKA



ELKSIR PRZYGÓD

BEATA
OSTROWICKA



Beata Ostrowicka
Eliksir przygód

© by Beata Ostrowicka
© by Wydawnictwo Literatura



Okładka:
Olga Reszelska

Korekta:
Joanna Pijewska

Wydanie VI
piąte w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-273-3

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2014
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl

Rodzicom

Rozdział 1

Kolejny złoto-różowy deszcz rozświetlił ciemne niebo. Po chwili zniknął. Następny, wspaniały w kolorach niczym owe bajeczne szkła wyrabiane w Wenecji i równie nietrwały jak bańka mydlana, ustąpił miejsca istnej feerii barw i światła wykwitającej nad kopułą Bazyliki św. Marka.

– Nieprawdopodobnie to piękne – szepnął wysoki młodzieniec, ubrany w czarną, spływającą aż do ziemi pelerynę. Górną część jego twarzy zakrywała granatowo-srebrna maseczka.

– Piękne? – zaśmiał się z pobłażaniem drugi, podobnie odziany, znacznie niższy i, sądząc z głosu, starszy. – To spojrzysz, co na drugiej stronie placu się wyczynia.

Młodzieniec odwrócił się i z niedowierzaniem wpatrzył w świetliste kręgi różnej wielkości, wirujące po aksamicie nieba.

– Ja już tam na sztuczne ognie się napatrzyłem – mruknął starszy. – I nie dziwią mnie one. Bardziej zdumiony jestem widząc, co owi człecy wyczyniają z własnym ciałem. – Wskazał na liczną grupę kolorowych akrobatów i kuglarzy, którzy, rozłożywszy dywany na środku placu, demonstrowali na nich swe umiejętności.

– Gdzieś tu i arena przygotowana być miała do pokazania walki specjalnie ćwiczonych wołów z psami – powiedział młodszy i rozejrzał się dookoła.

– To i tak nie dla nas. Jeny dla zaspokojenia twojej ciekawości tu się zatrzymalim. Czas na nas.

Ruszyli, z trudem przeciskając się przez falujący i głośny tłum. Plac wrzał od gwaru. Tłumy karnawałowiczów wyglądały niczym barwna, ruchoma mozaika. Czarne peleryny, będące strojami większości, przeplatały się z pstrymi sukniami Arlekinów* i śnieżnobiałymi Pierrotów**. Wśród kostiumów, przygotowywanych częstokroć wiele miesięcy wcześniej, można było podziwiać fałdziaste suknie i wysokie, ozdobione błyszczącymi gwiazdami kapelusze astrologów, kapiące ozdobami strojne ubrania Turków, Hindusów, Tatarów. Były też postacie aniołów i diabłów, lekarzy, zwiewnych nimf i towarzyszących im pasterzy.

Minęli jarmarczne budy. W jednej z nich grubiotki sprzedawca namawiał piegowatą pannę do nabycia maści na piękność. W innej brodaty starzec, machając tygłem*** i potrząsając dziwnego kształtu buteleczkami, nawoływał podniesionym głosem, by podziwiać u niego sztukę przemieniania zwykłej rtęci w złoto.

– Jeszcze w Padwie ci rzekłem o tych szalbierstwach**** – mruknął zde gustowany mężczyzna do swego młodego towa-

* Arlekin – jedna z postaci w komedii włoskiej, sprytny, kochliwy sługa, ubrany w barwny strój z deseniem w trójkąty lub romby, noszący maskę na górnej części twarzy.

** Pierrot – postać w komedii włoskiej, występująca w białym kostiumie z ubieloną twarzą.

*** Tygiel – naczynie używane do topienia metali, do spalania i prażenia różnych substancji.

**** Szalbierstwo – oszustwo, zwłaszcza wyłudzenie czegoś.

rzysza. – Żadna to alchemia*, jeno zwykłe oszustwo... Tera tędy – poleciał krótko.

Szli wąskimi uliczkami oświetlonymi przez niewielkie ogniska. Pod mostami, jakby od niechcenia przerzuconymi nad kanałami, dostojnie przepływały smukłe, ciemne gondole**. Gwarni karnawałowicze blaskiem swych pochodni budzili do życia rzeźby, pomniki, ażurowe zdobienia smukłych okien czy drzwi, delikatne rysunki ornamentów na fasadach budynków. Wszystko tworzyło osobliwy i niepowtarzalny urok tych chwil, które młodzieniec chłonał całym sobą.

– Jeszcze dwie uliczki i już przy cmentarzu kościoła Świętego Salwatora jesteśmy – odezwał się półgłosem starszy. – Jeno chwilę stanę i oddech złapię.

Zaułek rozjaśniało palące się niedaleko ognisko. Wokół niego siedziało kilku żebraków. Przy cmentarnym murze stała ciemna postać. Młodzieniec, mający bystrzejsze oczy, wypatrzył ją pierwszy i chwycił za ramię swego towarzysza.

– Patrzcie, Mistrzu, tam chyba ktoś jest.

Starszy skinął głową i zbliżył się do postaci, która na ich widok postąpiła krok do przodu i odezwała się:

– Merkuriusza czerwonego... – usłyszeli.

– W kąpieli kwaśnej uwarz – odparł starszy mężczyzna.

– To dla was, panie – odrzekł z ulgą nieznamy i wręczył jakiś ciemny przedmiot. – Moje zadanie skończone, w wasze ręce przekazałem – skłonił się.

– Nie ma go. Już odszedł. Wzdłuż owego muru idzie, tak mi się zdawa – powiedział młodzieniec.

* Alchemia – dociekania mające na celu przetworzenie zwykłych metali w złoto przy użyciu specjalnej substancji – kamienia filozoficznego (nieistniejącego w przyrodzie). Wysiłki alchemików miały na celu jego znalezienie.

** Gondola – łódź wiosłowa, używana w komunikacji po kanałach Wenecji.

– Nas też tu zara nie będzie – zarządził starszy i przycisnął mocno do siebie przedmiot, który przed chwilą został mu przekazany.

Rozbawiona grupa przebierańców, wymachująca flaszkami i pochodniami, zatrzymała się niedaleko. Wtedy dopiero młodszy ujrzał w rękach Mistrza niewielką szkatułkę.

– To po to tu przyjechalim? – spytał głosem pełnym radości i niedowierzania.

– Po to – odparł starszy z dumą i dodał: – Tera do gospody wracamy. – Kurczowo przycisnął do siebie szkatułkę.

– Mistrzu, to nie z tej strony przyszlim – zauważył niepewnie młodszy, starając się dojrzeć coś w ciemnościach.

– No, Polacco, zuch prawdziwy z ciebie – zakpił starszy. – Mnie to prawisz, a ja w Wenecyi lat bez mała piętnaście spędziłem. Jak ci nudno kiedy będzie przy myciu alembików*, to ci rzeknę, com tu tyle czasu robił – zaśmiał się. – Zdrożon już jestem, to gondolę najmiemy i nią wrócimy. Dla tej przyczyny inszą drogą idziemy. Do Canale Grande cię prowadzę.

Uliczki znów ożyły pstrymi strojami, gwarem przeplatanych śmiechem. Niespodziewanie weszli w roztańczoną grupę. Towarzyszyło jej kilku muzyków, skocznie przygrywających na instrumentach ozdobionych pękami wstęg.

– No, taka uroczą Kolombinka** pasowałaby ci, co? Tyś młody, to i zabawa, i taniec tak potrzebne dla ciebie jak dla nas wszystkich powietrze – zaśmiał się starszy. – Tera, śliczna panienko, nam spieszno – uśmiechnął się do dziewczyny, obejmującej bez żenady jego towarzysza.

– Szkoda! – zaśmiała się. – Chociaż maska część twarzy przyjaciela twego skrywa, coś mi rzecze, że wielce przystojny

* Alembik – szklane naczynie używane do destylacji.

** Kolombina – główna postać kobieca z komedii włoskiej, partnerka Arlekina.

z niego kawaler. Masz na pocieszenie. – Podąła młodzieńcowi odpiętą od sukni purpurową różę z jedwabiu. – I na cóż to o pośpiechu mówić w czas karnawału?! – dodała z wyrzutem.

Do tłumu, zabawiającego się wylewaniem na siebie resztek wina, dołączyło dwóch mężczyzn o całkowicie zasłoniętych twarzach. Minęli mokre nimfy i przystanęli niedaleko rozbawionego Mistrza i jego speszonego towarzysza, którzy żegnani serdecznie przez Kolombinę, wybierali się w dalszą drogę.

Naraz coś się wydarzyło. Wysoki i chudy mężczyzna nachylił się do swego towarzysza i coś mu szepnął. Zaraz potem stanął za plecami Mistrza. W tym samym czasie pijany Pierrot, próbujący od dłuższego czasu zwrócić na siebie uwagę rozmawiającej Kolombiny, zatoczył się i pobiegł w jej stronę, między starszym mężczyzną a stojącym zaraz za nim nowo przybyłym. Ten ostatni nie zauważył pijanego i wykonał gwałtowny ruch pchnięcia.

Patrzcie! – krzyknęła wesoło Kolombina, wskazując leżącego Pierrota, który szeroko otwartymi, szklanymi oczami zdawał się wpatrywać w ciemne niebo, na którym co pewien czas pojawiały się błyski zakwitających na niebie ogni sztucznych. – Marcello już całkiem pijany tu leży. Ej, ty – jedną ręką potrząsnęła nim, a drugą pomachała odchodzącym na pożegnanie – wstawaj, pijaku...

– Nóg już nie czuję – odezwał się po dłuższej chwili Mistrz i z uwagą popatrzył na idącego obok. – Cóżes tak zamilkł? Z rozpaczy po Kolombinie? Znajdziemy zaraz inszą.

– Panie, schowajmy się gdzie... – odezwał się błagalnym tonem młodzieniec.

– A po co niby? Aaa. – Stary aż przystanął ze zdumienia. – Ty o to się niepokoisz... – Głową wskazał na kształt ledwo widoczny pod peleryną.

– Tak, Mistrzu.

– Coś ci, Polacco, rzeknę – powiedział naraz poważnym tonem. – To bezpieczne jest. I my z tym też. O tym, że to w Wenecji jest, wie jeno ów doręczyciel, no i my.

– Nie zaszkodzi, panie, trochę ostrożności. Zbyt cenną rzecz przecie niesiecie – oparł młody, rozglądając się dookoła.

Aksamit nieba wyblakł. Wenecja rozpoczynała kolejny dzień. – Wrażeniu oprzeć się nie mogę, że jakoweś szmery słyszę. I że dużo cieniów za nami idzie.

– Eee – skrzywił się pogardliwie jego towarzysz. – Szmery masz we łbie, a cienie pod oczami z niewyspania. Rzekłem ci, jeno my trzej wiemy...

Naraz na kamiennych płytach przed gotyckim pałacykiem z kamiennym portalem zastukały głucho czyjeś pośpieszne kroki. Dwóch mężczyzn z zamaskowanymi twarzami stanęło niedaleko rozmawiających. Wysoki i chudy wykonał ruch szybki jak myśl. Wąski nóż zatoczył luk w powietrzu i Mistrz począł osuwać się na ziemię. Jego towarzysz krzyknął przerażony. Schylił się nad leżącym i usłyszał dziwnie mocny głos:

– Uciekaj, Polacco! – Poczul, że trzyma w rękach szkatułkę.

Jedno spojrzenie na twarz leżącego wszystko mu powiedziało. Nie zwlekając ani chwili dłużej, zerwał się do ucieczki. Kątem oka zobaczył, że biegnie ku niemu morderca, którego peleryna powiewa niczym skrzydła czarnego, ogromnego ptaka. Młodzieniec, ściskając kurczowo szkatułkę, wbiegł po schodkach na wąski most. Po chwili był już na drugim brzegu kanału. Zabójca biegł za nim. Ostatnie spojrzenie na Mistrza, którego odzienie obszukiwał drugi z napastników, tylko dodało uciekającemu sił.

Zdarł maseczkę i skręcił w prawo. Znalazł się na niewielkim kamiennym placu, otoczonym fasadami trzech pałacyków. Gorączkowo rozejrzał się dookoła. Pobiegł opustoszałą uliczką, słysząc za sobą odgłosy pogoni. Znowu jakaś uliczka z odrapanymi domami, ozdobionymi różnokolorowymi drew-

nianymi okiennicami. Kolejny zaułek, dom z podcieniami, w których skrył się nocny chłód, parę schodów, a na nich pochrapujący żebrak. Kolejna uliczka, z całującą się parą, opartą o drzwi domu z czerwonej cegły, i ciągły, nieustający tupot nóg za nim.

Niecierpliwym ruchem rozwiązał pod szyją pelerynę, krępijącą mu ruchy. W bordowym odzieniu, z białymi wyłogami, pobiegł prosto przed siebie. Skręcił gwałtownie w prawo i wpadł na uliczkę wiodącą wzdłuż kanału. Przed nim wyrósł wspianały gmach kościoła. Tuż obok, parę metrów od niego, kolejny most łączył dwa brzegi kanału. Wbiegł na most i w cieniu bliższej podpory ujrzał przycumowaną gondolę. Rozejrzał się po placyku. Prześladowca jeszcze tu nie dotarł. Słychać było jednak coraz wyraźniej tupot jego nóg. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, wskoczył na niski murek oddzielający uliczkę od wody. Starając się robić jak najmniej hałasu, zsunął się do gondoli. Położył się w niej płasko i narzucił na siebie płótno, jakie tam znalazł. Wstrzymał oddech i począł nasłuchiwać. Usłyszał kroki mordercy, które niezdecydowanie to przybliżały się, to oddalały. Ucichło. Odczekał jeszcze chwilę i dopiero wtedy usiadł. Zaczął ponownie nasłuchiwać.

Mając jedną rękę zajętą, z trudem wspiął się na murek. Gdy zmęczony odpoczywał, usłyszał obok siebie zabójcę Mistrza. Jakby wiedziony tajemniczym instynktem, błyskawicznie wyciągnął sztylet z cholewy buta. Jeszcze siedząc na murku, odparował spadający na niego cios zadany sztyletem. Znowu kolejny cios i kolejne pchnięcie, zadawane przez mordercę, który również pozbył się peleryny.

Na placyku rozgorzała walka. Dwóch wysokich mężczyzn walczyło na śmierć i życie, jeden, przyciskający kurczowo do lewego boku szkatułkę, co znacznie ograniczało jego ruchy, i drugi, ubrany na czarno. Na jego piersi błyszczał zawieszony na grubym łańcuchu medalion, wyobrażający otwarty pysk wilka.

– Zabiję cię. – Młody człowiek usłyszał słowa wypowiedane beznamyślnie.

Poczuł w lewym ramieniu piekący ból. Syknął i ujrzał, że krwawi.

Na placyku pojawiło się naraz kilkanaście osób. Rozeszmiani mężczyźni w strojach pasterskich i dziewczęta przebrane za pasterki zaczęli tańczyć. Byli tak zajęci zabawą, że nie zwrócili uwagi na dwóch mężczyzn ze sztyletami w dłoniach, stojących na schodach prowadzących do migocącej wody.

W pewnej chwili dziewczyna w wianku z kwiatów na ciemnych włosach oderwała się od tańczących i podbiegła do murku. Wdzięcznie oparła się na nim i zawołała w stronę przebierańców:

– Giovanni, Giovanni...

Młodzieniec, jakby wszystko stawiając na jedną kartę, z furją zaatakował. Zabójca z wprawą odbijał jego ciosy. Nagle, słysząc dźwięczny głos dziewczyny, odwrócił w jej stronę głowę. Ta chwila nieuwagi wystarczyła. Sztylet młodzieńca rozciął prawy policzek zamaskowanego. Mężczyzna krzyknął. Dotknął lewą ręką zakrwawionej twarzy. Cofnął się. Skórzane buty straciły oparcie na wilgotnych stopniach i runął do wody. Młodszy wytarł sztylet o rękaw i umieścił go w cholewie. Zaczął uciekać. Przyciskając szkatułkę zdrową ręką do boku, zniknął w jednej z trzech uliczek.

– Byle do placu Świętego Marka dobiec – szepnął spieczonymi wargami – potem już jakoś trafię.

Znów różnoksztalne mosty zawieszane nad kanałami, których nazw nie znał. Domy przeglądające się w ołowiano-granatowej wodzie, przebierańcy, rzucone gdzie popadnie niedogaszone pochodnie. Coraz mniej sił, coraz większy ból drętwiejącej ręki, ale nareszcie nie było tego ustawicznego tupotu za nim.

Biegł coraz bardziej wyczerpany. Minał pijanego Pierrota, który chciał mu wręczyć smukłą butelkę. Osłabiony oparł się na chwilę o balustradę mostu. Naraz zaniepokojony czymś uniósł głowę. Na końcu uliczki ujrzał mężczyznę, przykładającego do twarzy zakrwawioną chustę. Podtrzymywany przez dwóch pasterzy, rozglądał się gorączkowo dookoła.

Młodzieniec pochylił się. Niezauważony przez mordercę, przebiegł na drugą stronę kanału. Zbiegł schodkami. Mocniej chwycił szkatułkę i wskoczył do wody. Wykonał parę chaotycznych ruchów i dotarł do przepływającej gondoli. Chwycił się jej lewą ręką, a drugą delikatnie umieścił w niej skrzynkę. Zdumiony gondolier w trójgraniastym kapeluszu pomógł mu wejść do łodzi. Młodzieniec, bledy z bólu, słabym głosem wydał jakieś polecenie. Z ulgą położył się, opierając głowę na tajemniczej skrzynce.

Wenecja rozpoczynała kolejny dzień...

Rozdział 2

– **N**iech no Helenka pójdzie do wirydarza*... Abo lepiej nie. Toż panienka ma chyba gorączkę – odezwała się łagodnym głosem pulchna kobieta, której policzki od pochylania się nad gorącym piecem nabrały koloru czerwieni.

– Nic mi nie jest – odparła jasnowłosa dziewczynka nazwana Helenką.

* Wirydarz – ogród.

– To i chwała Bogu. To niech panienka najdzie mi tam se-
lerów i troszkę pietruszki by mi się przydało. Tylko proszę iść
wolniutko – poleciła.

– A co jeszcze, Marcysiu?

– No, co jeszcze? – Rumianolica kobieta odziana w ciemną
suknię i śnieżnobiały fartuch potrząsnęła głową zdobną w po-
pielaty czepiec. – Co jeszcze? Za to, że z panienki mam wiel-
ką pociechę i radość, że od samiutkiego raneczka mi zgrabnie
pomaga, to proszę sobie gruszeczek skosztować.

Marcysia odpięła od paska pęk dźwięczących kluczy i po-
dała je pokraśniałej z uciechy dziewczynce. Helenka porwa-
ła klucze oraz niewielki koszyczek wiszący na haku koło okna
i wybiegła z kuchni, pełnej najprzeróżniejszych cudnych za-
pachów. Pachniało szafranem, którego Marcysia nie żałowa-
ła do sosu żółtego, czuć było bigos, który z wielkimi kawałka-
mi mięsa, słoniny i kielbas głośno bulgotał na piecu. W rogu
kuchni, gdzie pachniało wanilią, na ławie stała ogromna dzie-
ża* wypełniona ciastem, przykrytym bielutkim kawałkiem
płótna.

Aże kręci ode tych wonności – pomyślała dziewczynka,
wybiegając z dworku. Znalazła się wśród zieleni drzew, krze-
wów i kwiatów. Zapiekły oczy przyzwyczajone do kuchen-
nego półmroku. Ładny ci ten nasz wirydarz – rozejrzała się
z dumą, wolniutko krocząc ścieżką wysypaną żółtym pia-
skiem. – Wielki i zadbany. I moc pięknych kwiatów w nim ro-
śnie. I zioła rozmaite, a to rozmaryny, lawendy, jest też *lilium*
konwalium, a wszystkie je stryj mają w wielkim poważaniu.

Wirydarz, stanowiący połączenie parku, sadu i warzyw-
nika, tonął w słońcu. Jabłonie i stare grusze, słyszane w oko-
licy ze smakowitych i nad podziw dorodnych owoców, rzu-

* Dzieża – drewniane naczynie używane dawniej do wyrabiania ciasta.

cały cień na grządki jarzyn. Dumę rumianolicej Marcysi sta-
nowiły brunatne fiołki, z których przyrządzała olejki, soki,
a nawet, wedle recepty, której nie chciała wyjawić, wyborną
wódkę, używaną jako lek przeciw gorączce. Obok wiśni przy-
cupnął drewniany chłodniczek*, gęsto porosły dzikim winem
i bluszczem, w którym Helenka lubiła przesiadywać, czy to
rysując, czy czytając książki z biblioteki stryja. Niedaleko, za
drzewami, szumiał strumień, obmywając kamienie, korzenie
kalin i kępy niezapominajek porastających obficie jego brze-
gi. Ścieżka za strumykiem prowadziła dziewczynkę do najład-
niejszej części ogrodu. Tu królowały różnorodne kwiaty, sad-
zone na przemian z bukszpanem strzyżonym w przemyślne
wzory. Monotonne bzyczenie pszczół latających nad kwiatami
przypominało o obecności pasieki, schowanej nieopodal za
rozłożystymi lipami.

– A ty już więcej nie chorzej, dobrze? – szepnęła do małego
drzewka o błyszczących liściach i delikatnym ruchem po-
gładziła jego pień.

Helenka pobiegła z powrotem w stronę jarzynowych grzą-
dek. Zabawiła tam dłuższą chwilę. W podskokach wróciła do
dworku. W sieni, pachnącej teraz imbirem i cynamonem, sta-
nęła przed niewielkimi drzwiczkami, znajdującymi się na pra-
wo od wejścia. Z mozołem otworzyła je srebrzystym, wielkim
kluczem i weszła do środka.

– Gruszki smaczne – uśmiechnęła się radośnie do Marcysi
i podała jej koszyk wraz z kluczami, które kobieta czym prę-
dziej przypięła sobie do paska.

– No, ja myślę, że miód i cukru poszło na nie niemało –
odparła z dumą Marcysia i rogiem fartucha wytarła policzek
Helenki, na którym pozostało trochę słodkości.

Ale myśli dziewczynki biegnęły już innym torem:

* Chłodniczek – altana.

– Pewnikiem będzie już zdrowe...
– Co zaś?
– Owo cudzoziemskie drzewko, co je stryj przywieźli.
– Aaa, pomarańcza. – Marcysia kiwnęła z pobłażaniem głową. – Pan rzekli, co to będą z tego kiedyś pyszne owoce, ale ja tam myślę, że nasze grusze i jabłka i tak smaczniejsze. A co to w ogóle za drzewko, co się je dopiero w kwietniu spod dachu do wirydarza wynosi, bo mu zimno... – Marcysia prychnęła pogardliwie i zakrzętnęła się wokół miedzianych rondli i garnków stojących na piecu.
– A stryj to co? – spytała dziewczynka, siadając na ławie i dłonią przecierając czoło.
– No, właśnie... Może panienczka zaszłaby do stryja?
– Stryj nie lubią, jak tam chodzić do niego po próznicy.
– To proszę przez okienko do pana krzyknąć. Może pan usłyszą.
– A i dobrze – odparła dziewczynka już z sieni.
Marcysia podeszła do dzieży i odchyliła płócienco. Będzie ciasto, że hej. Zawolałam dziewczki – pomyślała – niech poczynią z tego placki i ładują do pieca. Kasia to ma nad podziw szczęśliwą rękę do wypieków wszelakich, to niech ona tu tera rządzi...
– Marcysiu! Stryj prawią, że nie przyjdą na obiad, jeno chcą, coby mu jadło zanieść.
– Mój ty Boże! – załamała ręce kobieta. – Toż ja od samiotkiego ranka tu się krzątam, jeszcze ciemno przecie było, jakżem tu przyszła do kuchni, szykując mięsiwa, gąszcze* rozmaite, wety**, a pan mówią, że nie przyjdą – dokończyła z żalem.
– To już trzeci raz w tym roku kucharzysz, Marcysiu – odezwała się po chwili zastanowienia dziewczynka.

* Gąszcz – sos.

** Wety – desery.

– Mnie się zdawa, że czwarty. Dziwna to rzecz. Niespodzianie mnie ochota ogromna ogarnia na gotowanie, pieczenie – odparła Marcysia – bez żadnej specjalnej okazji...
– Pewnikiem pan Kazimierz przyjadą – zachichotała dziewczynka. – Zawszy przyjeżdżają, jak naszykujesz smakołyków, Marcysiu.
– A może, Helenko, poszłabyś do pana i rzekła o tym. – Marcysia wskazała na piec pełen dymiących naczyń.
– Pójdę. Przecie i tam by się stryjowi przeszkodziło, gdyby mu jadło zanieść, co o nie prosili.
Po chwili, na tyłach podwórza, Helenka stanęła przed niewysokim domkiem otoczonym wianuszkami owocowych drzew. To tutaj jej stryj spędzał długie godziny, częstokroć zapominając o świecie istniejącym poza ścianami tego bielonego budynku. Tu miał swoją pracownię, w której przyrządzał lekarstwa, mikstury wedle recept poznanych z ksiąg i wedle swoich pomysłów. Przede wszystkim przesiadywał w drugiej izbie, gdzie nikomu wchodzić nie pozwalał, a z której czasami dziwne zapachy się wydobywały.
Dziewczynka z wysiłkiem pchnęła ciężkie drzwi i, stojąc w mrocznym korytarzu, zawołała niepewnie:
– Stryjku?!
Trza mi iść na pięterko – pomyślała. – Dwie izby tam są. Jedna, co stryj nad ziołami w niej pracują i mnie tam nauk o nich udzielają, i druga, co wždy zamknięta stoi i nikt, poza stryjem, wstępu do niej nie ma. Jak tam stryj już wejdą i w pracy swojej się pograżą, to wołać na niego można co siłą, a i tak nie usłyszy.
Rozejrzała się ponownie dookoła i ostrożnie zaczęła wspinać się po stromych schodkach, czując pod ręką wygładzoną powierzchnię poręczy, której trzymała się kurczowo.
– Stryjku? – powtórzyła, stojąc już na pięterku. – Stryjku, to ja, Helenka.